

# NAUKA I ROZRYWKA

Dodatek bezpłatny do „Dziennika Bydgoskiego“ Wychodzi co 2 tygodnie

Nr. 19.

Bydgoszcz, niedziela 12 września 1909.

Rok II.

## Grób Władysława Warneńczyka.

Specjalny korespondent „Kurj. Warsz.“ pisze:

Podczas niedawnego pobytu mego w Warnie przy sposobności kopania kanału między morzem a jeziorem dezoneńskim rozpoczęto tamże i badania archeologiczne. Na linii, którą przerznie ów kanał, odkopano wspaniałą świątynię z czasów Konstantyna Wielkiego (306—337 r.), której położenie wskazuje, że musiał tam istnieć w pobliżu gród znaczny. Prawdopodobnie byłaby to stara Warnia. Dzisiejsza bowiem leży na tem miejscu, gdzie był starożytny Odesos, t. j. nie nad jeziorem, lecz nad morzem. Podług krążącej tamże legendy owa stara Warnia zapadła się w jezioro i przy spokojnem zwierciadle jego widzieć jakoby można mury na dnie wody.

Owóz z pamiętnego dnia bitwy warneńskiej 1444 roku wiadomości ówczesne nie wspominają o istnieniu jeszcze wówczas jakichś bądź poważnych resztek owego starego grodu. Natomiast niektóre kroniki wspominają, że po ucięciu głowy Władysławowi i odesłaniu jej do Brusy, jacyś mnisi wschodni wyprosili u sultana Amurada pozwolenie zabrania pozostałych jako kadłub zwłok Władysławowych, i pogrzebali je w świątyni czy klasztorze. Najdawniejszą cerkiewką w Warnie jest św. Paraskewyja w pobliżu morza i dzisiejszego kasyna kupieckiego.

Przed czterema laty wynająłem umyślnie mieszkanie tuż przy samej cerkiewce, aby czynić odpowiednie poszukiwania. Na próżno: ani duchowni greccy, ani ich biskup, do którego dyczezyi ta cerkiewka należy, nie mogli udzielić zadowalających wskazówek.

Atoli jak przy odkryciach fizycznych tak też i archeologicznych często zdobywa plony nie badanie naukowe, lecz prosty przypadek. Na nie się przydały i moje i Towarzystwa archeologicznego miejscowego z braćmi Szkorpiłami na czele długie zapobiegliwe poszukiwanie i badanie śladów grobu Władysława Warneńczyka, aż oto ślepy traf od razu w ciągu jednej nocy przyniósł wynik niespodziany.

Gdy się idzie główną ulicą Warny t. zw. Presławską, ciągnącą się od portu i przerzynającą miasto na dwie połowy — starą i nową

dzielnicę, gdy się minie plac Musala z kolumną sultańską i drugi za nimi soborny z cerkwią i pomnikiem dla poległych w wojnie 1877—1878 wkracza się na ulicę długą, miejscami wąską, to znów rozszerzającą z mnóstwem po obu stronach garkuchni ludowych i straganów starorusińskich, pamiętających czasy tureckie i mając tu i owdzie jeszcze okazy sporadyczne Turków. Nazwano ją dopiero przed laty kilku ulicą Władysława, właśnie na cześć naszego Warneńczyka. Prowadzi też ona w prostej linii na pobojuwisko 1444 roku.

Minawszy rogatkę, wstępuje się na niezłą szosę, prowadzącą do miasta Dobrycza, a przerywną zaraz za miastem rozlegającą się obszerną, jak okiem zajrzeć równinę, z lekka falistą i gdzie niegdzie pogarbioną. Za rogatką o jakie dwa tysiące kroków na lewo wznosi się nasyp sztuczny, przypominający mogiłę; nie sądzę wszakże, aby nią była, a tem mniej, aby mogła pochodzić z owego pamiętnego dnia boju 10 listopada. Poczawszy od tego miejsca rozciągał się obóz wojsk chrześcijańskich, będący na tyłach jej. Podążamy dalej. Równina coraz dalej się rozlega, poza sobą mamy miasto i morze, na prawo zaś drugie wzgórze, na lewo płyną strumienie, zlewające się do jeziora Dewneńskiego. W pobliżu czwartego kilometra z obu stron pokazują mogiły, po tu-recku zwane „teke“. Niektóre z nich są trakij-skiemi, nie bez tego wszakże, aby ich nie spo-żytkowano dla poległych 1444 r. Jedna z nich ma znaczną wklęsłość, z pokładem ziemi świeższym od reszty. Tamże Polacy z dywizyi Zamoyskiego za jego inicjatywą wzniesli byli pomnik Warneńczykowi. Dziś niema z tego pomnika nawet kamieni, została tylko owa jama.

Na piątym kilometrze, w pobliżu dawniej-szej wioski tureckiej Kady-kioj, wznosi się więk-sze „teke“, zwane „Pasza-baba“, albo „hadzy-baba-tekese“, zaś między wioskami Pasza-kioj i Adzemler, drugie również wspaniałe z kapli-czką naszą św. Kontantyna i Heleny, gdzie też bywa odpust 21-go maja, według miejscowego podania poległ był tu jakiś wojewoda z odciętą głową. Biegł on jeszcze z odciętą głową w rękę i wreszcie tu padł i został po-grzebany w tamtej mogile. Ponieważ taki cud, jak niesienie własnej głowy w rękę, mógł być dokony tylko przez męża świątobliwego, a takim, według Turków, musiał być tylko prawo-

wierny muzułmanin, ogłoszono go za świętego i mogiły do niedawna strzegł bogobojny stary turek: wieczorem zapalał on lampkę, nietylko tajemniczo migoczącą w ciemnościach nocy, które spowijają te ciche i senne przestwory mogilne, ale i budzącą do rojeń uspięone dusze okolicznego ludu. Rojenia te sprzegły się z innymi, żądzą posiadania skarbów, bądź pamiątkowych, bądź wartościowych materialnie, mających być ukrytymi w tych mogiłach, żądzą, podnieconą przez wyniki dokonywanych rozkopów archeologicznych po całym kraju i przypadkowych lub technicznych przy robotach kanału Dewneńskiego.

Marząca, egzaltowna wieszczka warneńska, Teodora Ilijewa, słuchając opowiadania takich poszukiwaczy skarbów, t. zw. po bułgarsku „imaniarów“, podnieciła do tyła swą wyobraźnię, że poczęła miewać senne widzenia na tle wnętrza mogilnego. I oto śni się jej raz, że w mogile praojca barwnego, owego „paszababa“, grób nie muzułmanina, a chrześcijanina, otoczonego „gloryą jasną“. Tej wiadomości dość było „imaniarom“, aby przyspieszyć wykonanie planu dawno powziętego. Nie zwlekając dłużej, oblegają w nocy mogiłę i z gorączkowym pośpiechem rozkopywują. Winiem było znalezienie szkieletu bez głowy.

Czy i jakie znaleziono jeszcze inne w mogile przedmioty, mogące wzmocnić wiarygodność autentyczności zwłok królewskich, nie wiadomo dotychczas, gdyż część „imaniarów“ pierzchła, może nosząc z sobą te przedmioty, inni zaś są pod śledztwem. Archeologowie bułgarscy (kórych oburzenie na policję za niedopilnowanie mogiły przed rabusioństwem „imaniarów“ można podzielać, choć zapewne nie bez łagodzących okoliczności), są głębokiego przeświadczenia, że to są zwłoki Władysława. Teraz kolej na polskich i na cały kraj nasz, który nieomieszka gorąco zająć się sprawą tak podniosłą i tak uroczystą.

J. G.

### Nowe szczegóły.

W sprawie odzyskania prochów króla Władysława Warneńczyka trzeba być przygotowanym na wiele trudności, komplikujących poszukiwanie. Pamiętać trzeba o tem, że owa domniemana mogiła królewska leży w kraju, gdzie kultura nie gwarantuje jej dostatecznie spokoju i że następnie z jej tajemnicą związane są inne przewidywania polskie, inne zaś muzułmańskie, a znowu inne — poszukiwaczy skarbów, t. zw. imanjorów.

Jak wiadomo, do mogiły tej doprowadzili i Bułgarów i nas ci poszukiwacze skarbów. Zamiast skarbów, znaleźli oni kości, co do których wszelkie są dane, iż stanowią szczątki ciała Warneńczyka. Pierwsza wiadomość z Warny opiewa, że bułgarskie Towarzystwo archeologiczne od razu na wykopalisko położyło swą rękę i że w ten sposób szkielet jest zabezpieczony.

Obecnie dochodzi wiadomość na Zofię od jednego z członków tego towarzystwa, że nie

okazano w tej sprawie należytego pospiechu. Pewna część niegła jakoby rabunkowi i tę należy dopiero odzyskiwać.

Towarzystwo archeologiczne zapóźno się spostrzegło. Obecnie mogiły pilnuje straż, złożona z żandarmów bułgarskich i z jednego Turka z ramienia miejscowej gminy wyznaniowej, która rościła do mogiły pretensje.

Dalsze kopanie mogiły przedsiębrane będzie po nadejściu pozwolenia duchownej władzy tureckiej.

Pan Jan Grzegorzewski, dowiedziawszy się w Zofii o stanie rzeczy, wniósł niezwłocznie prośbę do bułgarskiego ministerium oświaty o wdrożenie akcji sądowo-administracyjnej.

W dniu 28 z. m. pan Grzegorzewski wyjechał do Warny, aby osobiście zbadać na miejscu rzecz całą i starać się o ratowanie szczątków które stracić teraz z oczu, niby widmo, bez zbadania ich pamiątkowego dla nas znaczenia, byłoby rzeczą zbyt bolesną.

Czekajmy dalszych wieści.

## Odkrycie grobu Witolda.

Ostatnie dni zaznaczyły się doniosłymi odkryciami, odnoszącymi się do naszej przeszłości. Niedawno wielkie wrażenie wywołała wiadomość o odnalezieniu pod Warną zwłok Władysława Warneńczyka, a obecnie znów nadchodzi wiadomość z Wilna o odkryciu grobu Witolda. W tej sprawie znany badacz przeszłości Litwy, mieszkający w Wilnie pan L. Uziębło donosi do warszawskiego „Słowa“, że dzięki szczęśliwemu przypadkowi, odkryte zostało miejsce wiecznego spoczynku znakomitego biskupa Waleryana Protasewicza-Suszkowskiego, tem samym zaś i grób pierwotny wielkiego bohatera Litwy, Witolda.

Zmarły dnia 27 października roku 1430 Witold, złożony został przy ołtarzu św. Michała, w grobie, w którym już żona jego Anna spoczywała, a był to, aż do wystawienia kaplicy królewskiej, sklep wspólny dawnych książąt litewskich. — Homolicki stanowczo twierdził, że grób znajdowałby się dziś w południowej części presbiterium i chóru kapitułnego, bliżej ku środkowi wielkiego ołtarza, pomiędzy pierwszą a drugą parą filarów kościelnych; bo dawniej, przed pożarem w 16. wieku, zakrystya leżała od południa. Ten grób — jak pisze Kirkor — odgadywano, lecz grobowiec powtórny Witolda z wszelką pewnością znajduje się w ścianie nawy północnej, gdzie ongi stał przed pożarem w roku 1610, ołtarz, Witoldowski zwany, a gdzie staraniem Eustachego hr. Tyszkiewicza w roku 1853 wzniesiono pomnik w kształcie tablicy marmurowej w rzeźbionej oprawie. Pozytywnie jednak ni Kirkor, ni Homolicki, ni Herbuttt, nikt nie zbadał, że w tem samym miejscu ściany była trumna Witolda, a nie w miejscu, gdzie sama nisza z posągami Righi'ego „Miłość Boga“

Mianowicie z powodu dostrzeżonego przez prałata Kurczewskiego rozsunienia się posadzki w kościele katedralnym, uczony kapłan nasz, wspólnie z badaczem rzeczy kościelnych dr. Wł. Zahorskim, zajęli się sprawą szukania spodziewanego w tym właśnie miejscu pierwotnego grobowca wielkksiążęcego. Wówczas to dr. Zahorski ostatecznie się przekonał, że ostatnie było to miejsce wiecznego spoczynku biskupa Protasewicza, złożonego w tym sklepie, gdzie również znajdował się grobowiec księcia Witolda. Obecnie też pod posadzką znaleziono schody, szereg marmurowego nagrobka biskupa — z jego herbem „Drzewień“, snadź włożony tu po ostatnim przebudowaniu katedry, części stroju biskupiego, jego czaszkę itd.

Bliższe szczegóły tego odkrycia — jak donosi pan Uziębło — mają być zakomunikowane krakowskiej Akademii Umiejętności.

## Muzyka w dawnej Polsce.

Zamiast powszechnie używanego dziś wyrazu obcego pochodzenia — muzyka — przodkowie nasi mieli niegdyś w użyciu wyraz: gędzba, razem z pochodnymi gędzieć, gędziebny itp. U dawnych pisarzy często się z nimi spotykamy, np. Rysiński w przysłowiuach powiada: sam sobie gędzie, sam wesół będę...

W najdawniejszych kronikach znajdujemy wzmianki, że książęta i królowie nasi mieli upodobanie w muzyce i znaczne koszta na nią ponosili. Wiemy, że Zbigniew, brat Bolesława Krzywoustego, będący wesołego usposobienia, otaczał się rzeszą muzykantów i śpiewaków; że żona Kazimierza Wielkiego, Litwinka, również i Jadwiga, żona Jagielly, słynęły z zamiłowania do muzyki; że sam Jagiello musiał ją lubieć, skoro zaziębł się, słuchając późno w noc śpiewu słowika, a Aleksander Jagiellończyk odziedziczył też samo usposobienie. Zygmunt I mając za żonę Włoszkę, oprócz własnej utrzymywał i włoską muzykę, a rachunki, pozostałe z tamtych czasów, nawet objaśniają nas, ile na nią wydawał.

Rozumie się, że muzyka ówczesna i pod względem doboru instrumentów i względem doskonałości swej, różniła się wiele od współczesnej. O ile z doszłych do nas źródeł możemy sądzić, składali ją: lutniści, grający na lutni, instrumente o strunach metalowych, przy którego głosie poeci swe rymy śpiewali, którą opiewał i Jan Kochanowski.

Byli jeszcze grający na piszczałkach — może dzisiejszych fletach, lub tym podobnych instrumentach, tak zwani piszczałkowie; bębniści, grający na bębnach, i trębacz. Dopiero z upowszechnieniem się w kraju muzyki włoskiej, od czasu Zygmunta II zaznaczyć możemy i większą różnorodność w doborze instrumentów i większe udoskonalenie u nas w muzyce, chociaż przy dworze królewskim już za Zygmunta I, jak zaznaczyliśmy wyżej, byli wybitni muzycy. Polacy i Włosi, których nazwi-

ska przeszły do naszych czasów. Sławnym miał być Jerzy, królewski piszczałek, a nazwisko Bekwarka lutnisty powszechnie jest znanem.

— Nie każdy weźmie po Bekwarku lutnię — powiada Rysiński w przysłowiuach, a Jan Kochanowski się o nim odzywa:

By lutnia mówić umiała,  
Tak by nam w głos powiedziała:  
Wszystcy inni w dudy grajcie,  
Mnie Bekwarkowi niechajcie.

Muzycy, jak się okazuje z dawnych pamiętników i notatek, nosili niegdyś strój, odróżniający się od tłumu. Czytamy, iż na dworze Zygmunta Augusta na ubiór dla Sobka, mistrza na organach, brano purpurę i adamaszek, wszystko zielonego koloru. Muzycy kapeli królewskiej za Zygmunta III chodzili w falendyszu lazurowym ze sznurkami i pętlcami, w futrach lisich i blamach szlamowych i mieli kołpaki i pasy. Później w Krakowie ubierali się zwyczajnie po polsku: żupan, kontusz z rękawami zarzuconemi, pas na kontuszu i karabela przy boku. Uczniowie jednak nie mogli nosić na wierzchu pasa, ani rękawów zarzuconych, ani oręza, dopóki nie zostali przypuszczeni do grona artystów.

Za dużo by nam miejsca zajęło, gdybyśmy chcieli tu wymienić wszystkich sławnych muzyków i głośniejsze kapele przy dworach królów i magnatów naszych, poprzestajemy zatem jedynie na najważniejszych.

Władysław IV posiadał już na dworze swoim teatr i kapelę, dającą w obecności króla koncerty. Posłuchajmy, jak naiwnie, ówczesnym stylem, opowiada o niej Jastrzemski, budowniczy ujazdowski, opisując Warszawę w swoich pamiętnikach:

— Na „teatrum“ zamkowem syreny, płynające po morzu, ślicznie śpiewają. Raptem otwiera się drzewo, wyskakuje z niego cała w klejnotach osoba z utrefionym włosiem i śpiewa jak anioł. Po włosku drgają nogami i krzyczą — wszystko przy muzyce i klawi-cymbalach. Starszy nad muzyką „komedia“ skończy.

Z tego opisu wnioskować można, że już na początku wieku XVI istniała na dworze królów polskich wielka opera, nawet z baletem.

Według świadectwa znakomitej Francuzki, pani Guebrint, która spełniając rolę nadzwyczajnego posła, przywiozła do Polski małżonkę Władysława IV, kapela śpiewaków tego króla, złożona z najlepszych głosów włoskich, uchodziła za najlepszą w Europie i kosztowała znaczne sumy pieniędzy.

Dodać należy, że obcego na dworze francuskim rozpieszczonego ucha tej pani nie raziła zupełnie muzyka własna naszego kraju i chętnie przyznaje, że orkiestra trębaczów i surmaczów polskich dobrze się wyjada na wolnem powietrzu. Z tegoż samego źródła dowiadujemy się, że pokojowa muzyka królowej składała się z klawikordów i lutni.

Polacy wogóle okazywali zawsze skłonność i usposobienie do muzyki, a przerzucając stare dziejowe źródła, napotykamy sporą ilość imion różnych Polaków, grających artystycznie na tym lub innym instrumencie. W pewnym zbiorze anegdotek czytamy, że na dworze cesarzowej Elżbiety bawił Polak Nowicki, grający koncertowo na cytrze. Dowiedziawszy się o śmierci króla polskiego, zaczął wybierać się do domu.

— Dokąd i poco? — zapytują się dworzanie.

— Jestem — powiada — szlachcic polski, mam prawo do korony i mogę zostać wybranym.

— A jak cię nie obiorą?

— To znowu powrócę i będę grał jak teraz.

## Przygoda nocna.

Pan Anzelm Anastazy dwojga imion Moczygęba był sobie dzielnym obywatelem, a mianowicie zaszczyt przynosił swojemu nazwisku. Trzymał się on tej zasady, że i roślina marnieje, jak nie bywa podlewana, a cóż dopiero tak szlachetne stworzenie jak człowiek! To też przy każdej danej sposobności rzetelnie pracował w rozmaitych płynach, a że miał żelazne zdrowie, nie zaniedbał obowiązków, w nikogo nie zawadzał, gdy miał pod czupryną, więc też nikt mu zasad jego zbyt często za złe nie poczytywał.

Miał p. Moczygęba starego woźnicę Jana, który zapatrzył się na swojego Pana i z równym zapałem, jak tenże, przyswajał sobie wilgoć gdziekolwiek takową zastał w butelkach, kufkach, kieliszkach i szklankach. Nie był ten zapał i ta emulacja Jana panu Moczygębie na rękę, ale że Jan zresztą był wierny, więc nie chciał pozbywać się starego sługi. Z drugiej strony jednakże było to rzeczą arcyniebezpieczną, gdy w mieście obaj, pan i woźnica zalali czupryny, bo natenczas z powotem mogło się nieszczęście wydarzyć.

— Nie, Janie, tak to dłużej być nie może, — powiedział raz pewnego pan Moczygęba, — jeden z nas musi być trzeźwym! Pozwolę ci zatem co trzeci raz, gdy będziemy w mieście, pić do woli, a ja się wtenczas wstrzymam od picia, ale pamiętaj, że następne dwa razy do mnie potem należą, a ty będziesz musiał pościć!

— Dobrze wielmożny panie! — odpowiedział Jan i odtąd ściśle się tej kolejki trzymali: dwa razy po sobie pan Moczygęba przejeżdżał sam podcięty do domu, a trzeci raz Jan był rzetelnie umalowany, podczas gdy pan jako tako się trzymał. Co się zaś w domu działo, to nie wchodziło w rachubę.

W ten sposób zachowali pan i sługa kolejkę i było obydwoim z tem dobrze. Razu pewnego jednakże zaszła w obrachunku pomyłka; kto właściwie takową spowodował, trudno

skonstatować — dosyć, że i pan Moczygęba i Jan sądzili, że to na nich kolej i obaj urznieci jak cztery dziewy wracali nocą do domu, śpiąc jeden w powozie, drugi na koźle. Wtem naraz konie stanęły. Stara do historya, że gdy młyn stanie, natenczas śpiący wnim młynarz się obudzi. To też i pan Moczygęba i Jan równocześnie się obudzili.

— Janie! — zawołał pan Moczygęba.

— Co, Wielmożny Panie?

— Co się stało?

— Nie wiem, Wielmożny Panie.

— Konie stanęły!

— A stanęły, proszę Wielmożnego Pana.

— Gdzie jesteśmy?

— Kaci tam wiedzą; ciemno jak w miechu.

— A to źle!

— Katać tam dobrze Wielmożny Panie!

— Janie!

— Co, Wielmożny Panie?

— A kiedy słońce wschodzi?

— Rano, proszę Wielmożnego Pana.

— A księżyc?

— To też pewnością będzie nad ranem.

— Hm, hm, — Janie!

— Co, Wielmożny Panie?

— Przywiąż konie do najbliższego drzewa, nakryje je dobrze, a potem przyjdź do mnie do powozu, poczem razem z panem zasną snem sprawiedliwego.

Z rana ekonom wyszedł z domu, a idąc przez podwórze, zdziwił się nie mało, gdy ujrzał przed pałacem landerę pańską, konie przywiązane do drzewa i nakryte derami. Nie wiedząc, co by to miało znaczyć, zbliżył się cichaczem, otwożył drzwiczki i znalazł w powozie — pana Moczygębę i Jana, opartych o siebie ramionami, kiwiających się aż szyby landary drżały.

No — to przebudzenie!

## Humorystyka.

### Sam się złapał.

Chłop, który zawsze sprzedawał piekarzowi masło, przynosi mu faszeczkę masła i mówi, że tam jest 2 kilo.

— Ej, ja muszę raz to masło zważyć, czy tu jest rzeczywiście 2 kilo.

Po zważeniu pokazało się, że brakuje ćwierć kilo.

— Gospodarzu, to wy mnie już oddawna tak oszukujecie.

— Ależ nie, mój panie, ja u siebie ciężarków nie mam, ale brałem zawsze pański dwukilowy chleb i podług niego odważyłem masło.

\* \* \*

— Przepraszam, czy pan nazwałś mnie osłem.

— Nie, miałem na myśli innego osła.